

## *Opowieść o Wolborzu*

*czyli*

*liryczny obraz miasta wczoraj i dziś*

Przyjacielu! Takim rady,  
żeś tu przybył w nasze strony.  
Masz ty moje słowo na to,  
że wyjedziesz ozdrowiony.  
Jako żeś tu po raz pierwszy,  
pozwól, że cię oprowadzę  
a ty wędruj miły ze mną  
by nie uszło nic uwadze.  
Spójrz mój miły jak przyjaźnie  
Wolbórz swe otwiera bramy.  
Od piotrkowskich stron cię przywiódł  
szlak już nowo budowany.  
Kiedyś było tu inaczej.  
Kto do miasta chciał nad Strawą,  
starym traktem przez Polichno  
jechał drogą utwardzaną  
kamieniami, żwirem, piachem,  
wedle dawnych możliwości,  
by powozy nie ugrzęzły  
w dużej topieli ilości.  
Na ten trakt, o którym mówię,  
dwa dojazdy prowadziły.  
Jeden zbaczał od Krakowskiej,  
drugi był tu gdzie stoimy.  
Zwróć swe oczy ku wschodowi.  
Dawny pałac się tu pręży.  
Dzisiaj szkoła jest tu, która  
młodych, polskich uczy męży.  
I od tejże właśnie szkoły,

gdzie kiedyś były koszary,  
od dziedzińca szła aleja  
wprost na właśnie ten trakt stary.  
Zatrzymajmy się na chwilę,  
gdzie pałacu wolborskiego  
jest dziedziniec, by podziwiać  
dzieło ręki Placidiego.  
Tak naprzeciw staje pałac  
jak ptak jaki, niby orzeł.  
Oficyny ma za skrzydła  
i wlatuje nad Wolborzem.  
Za nim park jest barokowy,  
co ma parter i tarasy,  
a na końcu kanał długi  
dla uroku i dla krasy.  
Dawniej park ten za pałacem,  
kiedy zwano go paradnym,  
mógł fruktowym i warzywnym  
chwalić się ogrodem ładnym.  
Teraz chociaż bardziej pusto,  
dalej wprawia nas w zdumienie.  
Cały twór ten ręki mistrza,  
*cour d'honneur* założenie,  
moglibyśmy przyjacielu  
tak podziwiać godzinami.  
Chodźmy jednak, czas nas goni.  
Wiele jeszcze jest przed nami.  
Poprowadzę cię ulicą,  
która bujną ma historię.  
I Zamkową i Krakowską była,  
dziś się Modrzewskiego zowie.  
A po drodze, nim dojdziemy  
do rozstaju dróg pierwszego,  
wiele domów miniem pierwej,

jeden lepszy od drugiego.  
Kiedyś z lewej, prawej strony  
łąki były rozciągnięte.  
Czasy te mają w pamięci  
tylko lipy niezmięte.  
Chociaż lat minęło wiele,  
czas doświadczył drzewa srogo,  
wzdłuż ulicy rosą dzielnie,  
będąc miasta wciąż ozdobą.  
Stańmy tutaj przy rozstaju.  
Z lewej widzisz plac targowy.  
W każdy czwartek już od świtu  
sprasza tu handlarskie głowy.  
I wolborzak i przyjezdny  
zaopatrzyć się tu może  
i w warzywa i w owoce,  
w chemię, stroje, jaja, zboże.  
Obok sklep z czerwonym dachem,  
który co dzień nam dostarcza  
najróżniejsze, pospolite,  
dobra wszem dla gospodarstwa.  
Tuż przy sklepie, widzisz, droga.  
Polną zwana wśród wolborzan,  
bo prowadzi wprost na pola,  
gdzie warzywa są i zboża.  
A naprzeciw niej, mój miły,  
tu po naszej prawej stronie  
jest Sportowa. To ulica,  
która biegnie przy stadionie.  
Kiedyś tu, gdzie plac targowy,  
trakt był stary do Piotrkowa,  
o czym żem ci już wspominał.  
Wspomnij sobie moje słowa.  
Przy tym trakcie, w miejscu sklepu

*austerya* wielka stała  
i w podróży panu z koniem  
odpoczynek tu dawała.  
Jeśli już o koniach mówię,  
tu jeździecka szkoła była.  
Z niemieckiego *reitszul* zwana,  
przed Sportową się mieściła.  
Idźmy dalej w stronę centrum.  
Widzisz, domów coraz więcej.  
Wieczór zbliża się mój miły,  
chodźmy zwawiej, chodźmy prędzej.  
Mówi się, że wolborzaków  
domy są jakby ich lustra,  
kolorowe i wymyślne.  
Malownicze mają gusta.  
Lecz to dzisiaj. Modrzewskiego,  
gdy Krakowską była zwana  
to w większości stała rzadko  
zabudowa tu drewniana.  
Takie wtedy czasy były,  
że wśród z drewna chatki mnóstwa  
rosły gmachy murowane,  
te rządowe i biskupstwa.  
No i znów się rozgadałem.  
Tak mnie miłość miastu niesie.  
Stańmy chwilę przy ulicy,  
co Pierwszego Maja zwie się.  
A dwa domy przed nią jeszcze  
moje miejsce jest na świecie.  
Zachodź do mnie na herbatę,  
gdy znów los cię tu przywiedzie.  
Ta ulica, którą widzisz,  
tam gdzie prawa strona nasza,  
dziś rozwidła się w połowie

i w osiedle nas zaprasza.  
Dawniej, bracie, ta ulica  
ku Wójtostwu zwana była,  
bo do posiadłości wójta  
w rozwidleniu prowadziła.  
Kilka kroków przejdźmy dalej.  
Wnet po lewo, przyjacielu,  
ujrzysz ulicę Garncarską.  
Przeszłość jej dziś zna niewielu.  
Gdy Różaną jeszcze była,  
wśród wolborzan nazwa własna  
jeszcze inna jej krążyła.  
Brzmiała: do Starego Miasta.  
Tu nie lada ciekawostka.  
Wielu wprawi to w zdziwienie,  
że na łąkach Poćwierdowa,  
Wolbórz nasz ma swe korzenie.  
Nuż legenda cię ta przejmie,  
że dzielnica, co się zowie  
Poćwierdowem, to jest miejsce,  
gdzie w napaści tatarowie  
mordowali osadników.  
Tam się w lasach pochowali,  
kogut paniem swym ich wydał,  
a tatarzy sćwiartowali.  
Na pamiątkę tych wydarzeń,  
stały tam kościółki z drewna.  
Z czasem wszystko jednak ginie,  
jedna w świecie rzecz to pewna.  
Dzisiaj w miejscu tych kościołów,  
już odporne na pożogi,  
trzy żelazne krzyże stoją  
wzdłuż tamtejszej leśnej drogi.  
I to tyle z tej historii.

Przeszliśmy już metrów z dwieście.

Tak stoimy tu na moście.

Nie jedynym w naszym mieście.

A pod nami, niczym wstęga,  
kręta rzeźba jest Moszczanki.

Rzeki co pamięta jeszcze  
świętojańskiej nocy wianki,  
co wypływa w Józefowie,  
wiosce na południe Łodzi,  
by dopłynąć do Wolborza,  
gdzie w Wolbórkę tu uchodzi.

Z prawej strony tejże rzeki,  
straż pożarna, dom kultury.

Pierwsza ładu jest żandarma,  
szlachetności strzeże wtóry.

Kejsi tu przed dwustu laty,  
tam za mostem z lewej strony,  
tam na wzgórzu, rósł potężnie  
zamek fosą otoczony.

Otoczony murem wielkim.

Z ogrodami, dworem całym.

I trzy baszty ten biskupi  
zamek dzielnie ochraniały.

Wód tu wtedy było więcej.

Toć krajobraz był ciekawszy.

Wartko płynął rzeki strumień,  
młyn Podzamczy napędzawszy,  
który tu, od strony rynku,  
przy Moszczance niestrudzenie  
mielił zboża by biskupom  
smakiem raczyć podniebienie.

Malowniczy to był widok,  
gdy nad małe z drewna chaty  
wznosił się ku niebu dumnie

zamek i gmach kolegiaty.  
Teraz próżno zamku szukać  
i ni śladu już po młynie.  
*Panta rhei* mój przyjacielu,  
jak ta rzeka, wszystko płynie.  
Tak ulica Modrzewskiego,  
memu sercu zawsze miła,  
przy ulicy Świętokrzyskiej  
w rynek nas doprowadziła.  
Ach, mój drogi, zobacz tylko  
jak to serce miasta bije.  
Jak dostojnie i jak zdrowo  
rynek tętni. Miasto żyje!  
Przed naszymi oczu staje  
i duchowo nas nastraja,  
w centrum rynku, kolegiata  
pod wezwaniem Mikołaja.  
Już w gotyku budowana,  
lecz za sprawą przebudowy  
Placidiego, nosi bardziej  
styl już późnobarokowy.  
A u góry kolegiaty,  
tam gdzie niebo drapie wieża,  
co godzinę brzmiąc nad miastem,  
dzwon kościelny czas odmierza.  
Słyszysz? Wybił siedem razy.  
Dziewiętnastą tak oznajmia.  
Spójrz, po prawo od kościoła  
parafialna kancelaria,  
dom proboszcza się tu mieści.  
Z drugiej tej świątyni strony  
stoi domek parterowy,  
ekleziastom przydzielony.  
Więc jak widzisz, tu ze środka

rynku, kościół nam wyrasta,  
jakby główna instytucja  
w samym sercu serca miasta.  
A dawnymi czasy jeszcze,  
równie obok kolegiaty,  
dumą miasta będąc wtedy,  
ratusz mieścił się bogaty,  
murowany, będąc centrum  
życia miejskiego wolborzan.  
Każdy według potrzeb swoich  
mógł zakupić tutaj zboża,  
zaopatrzyć się w produkty  
z całej Polski, gdyż handlowy  
szlak prowadził przez ten rynek.  
Zwał się szlakiem bursztynowym.  
Tak za sprawą tego szlaku,  
kwitł tu handel i podatki  
liczne wzbogacały miasto  
i stawiano tutaj jatki,  
sprzedawano mięsa, sery,  
najróżniejsze tu jedzenie  
i z oddali słychać było  
gwar targowy, koni rzenie.  
Ratusz wtedy, proszę cię,  
pełnił wiele funkcji różnych.  
Sądził winnych, więził, karał  
i rozliczał jemu dłużnych.  
W nim włodarze nasi byli,  
miastem całym zarządzając  
dbali o finanse miejskie,  
dobro ludzi za cel mając.  
Teraz śladu po ratuszu  
próżno szukać w centrum rynku.  
Teraz deptak tu parkowy



służy wszem do odpoczynku.  
A budynkiem dziś państwowym  
jest tak zwany Urząd Miasta.  
Koło domu handlowego,  
za kościołem tam wyrasta.  
Zobacz, wokół pełno sklepów.  
W konsumpcjonistycznym bagnie,  
człowiek, który ma pieniądze,  
może kupić co zapragnie.  
W rynku naszym, warto wspomnieć,  
o istotnym elemencie,  
o popiersiu Modrzewskiego  
na kamiennym postumencie.  
Stamtąd nasz myśliciel dumny,  
ideolog odrodzenia,  
patrzy na swój Wolbórz miły  
i nie kryje łez wzruszenia  
jak się wszystko zmienia prędko.  
Czas nas w ciągłą zmianę wzywa.  
To też chodźmy już w ulicę,  
co Warszawską się nazywa.  
Kiedyś zwana Chorzękową.  
Kupcy oraz rezydenci  
mogli drogą tą dojechać  
do niewielkiej wsi Chorzęcin.  
Również teraz można dotrzeć.  
Chociaż droga lepsza, nowa.  
Przez Chorzęcin i Zawadę,  
wreszcie w bramy Tomaszowa.  
Widzisz miły i znów sklepy.  
Tu spożywczy, obuwniczy  
a po lewej gmach policji.  
Każdy baciarsię przeliczy,  
jeśli myśli, że się uda,

zachachmęci czy zaszkodzi,  
niech pamięta, że w Wolborzu  
szkoda płazem nie uchodzi.  
Idąc dalej z lewej, prawej,  
domki, z drewna co niektórzy,  
niskie, niczym chatki wiejskie,  
starej są architektury.  
I kaplica, o tam, widzisz?  
Na wzniesieniu, tam gdzie górka.  
U jej stóp, potokiem żywym,  
wije się rzeka Wolbórka.  
Znakiem dawnych czasów tutaj  
są te chatki, które w ziemię  
wrosły, jakby chciały szepnąć,  
że idziemy w zapomnienie.  
Bo któż dzisiaj to pamięta?  
Czas z pamięci nas opróżnia.  
Pod numerem czterdzieści-sześć  
była dawniej prężna kuźnia.  
I niejedna w tych rejonach.  
Każdy wie w jeździeckim gronie,  
że kto w podróż się udaje  
musi podkuć swoje konie.  
Zobacz jaki widok piękny,  
gdy Wolbórka rwie pod nami,  
tam na wzgórzu cmentarz stary,  
cały Wolbórz za plecami.  
Dalej łąki widzisz miły.  
W mieście ogród przy ogrodzie.  
Wszak szczęśliwe miasto wtedy,  
kiedy kocha się w przyrodzie.  
Tak doszliśmy przyjacielu  
już na koniec opowieści  
o Wolborzu i żałuję.

Tu się tyle jeszcze mieści,  
a nie sposób wszystko ująć.  
Skarbów tu jak piachu w murze.  
Liczę wszakże, przyjacielu,  
że przyjedziesz tu na dłużej,  
że pokażę ci młyn Kozia,  
który lat ma ponad dwieście,  
że zobaczysz stadion, kanał,  
że coś zjemy gdzieś na mieście,  
pochodzimy na spokojnie  
i poczujesz legend dreszcze  
i odpoczniesz, poznasz kogoś.  
Przyjedź, mówię, przyjedź jeszcze!  
To przyjedziesz? Przyjacielu?  
Czemu nic nie mówisz do mnie?  
Całą drogę ja rozprawiam  
a ty milczysz tak upiornie.  
O, już północ biją dzwony.  
Czas jest wszak nieubłagalny.  
Ale zaraz, czemu w mroku  
znać, że bije dzwon cmentarny?  
Zdejmij kaptur przyjacielu.  
Widzisz, mam tak, że po zmroku  
gorzej widzę. Patrząc w ciebie  
nie chcę już wyęźać wzroku.  
O dziękuję, żeś usłuchał...

( Tak ujrzałem twarz jak ducha.

Rysy jego niecielesne.

A on odrzekł mi do ucha)

- Frycz Modrzewski, bracie, jestem.

I dziękuję ci, mój miły,

żeś mnie oprowadził miło,

bo od lat już ponad pięćset,  
wiele tutaj się zmieniło.

( Trwoga mnie przejęła wielce.  
Czyżbym z duchem właśnie gadał?  
Czyżbym nagle bez przyczyny  
właśnie zmysły tu postradał?  
I przecieram swoje oczy.  
Możem tylko jest zmęczony.  
A on mówi... )

- Tak więc bracie,  
za twój czas mi poświęcony,  
teraz cię przeniosę w czasy,  
które pięknie przytaczałeś,  
a tym samym te korzenie  
miasta Wolbórz ocalałeś.

( Jasność dziwna mnie powzięła.  
Potem ciemność przejmująca.  
Niby stoję tu gdzie stałem.  
Lampa żółto się jarząca,  
widzę, że rozświetla domek  
i muzyka jakaś grała,  
a on mówi... )

- To Wesola,  
to jest karczma, co tu stała.  
Usiądź z gośćmi w niej przy ławie.  
Idź, odpocznij, to w podzięce.  
Oddaj dzisiaj się zabawie.  
Ciesz się, potańcz, klaskaj w ręce.  
A ja muszę już powrócić  
tam gdzie przyjaciele moi.

Wróćę może kiedyś tutaj.

Wróćę jak mi Bóg pozwoli.

( Dreszcze mi przeszły ciało,  
kiedy zniknął tak w ciemności.

I poszedłem do Wesolej.

Dawnych czasów gość z przyszłości. )

Michał Kamil Kaźmierczak